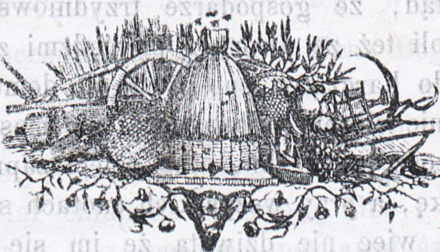
Tom XX. Nr. 10.

1. Kwietnia 1869.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Szymon z Zawiśla.

I.

Niedaleko Sandomierza, tuż nad samą Wisłą, leży wieś Trzydniów, sławna na całą okolicę, bo tam i grunta urodzajne jak rzadko gdzie, i pastwiska piękne, i las jest, i wody podostatkiem, a lud poczciwy, uczynny, gościnny, pobożny i ochoczy do pracy.

W środku wsi, na pagórku, stoi piękny murowany kościoł z pozłocistym krzyżem na wyniosłej wieży, a nieco opodal dwór pański, zbudowany z drzewa tak jak chaty włościańskie, jeno obszerniejszy, i co prawda to prawda, ochędożniej utrzymany.

Jest w tej wiosce kilkunastu kmieci, którzy mieszkają w wygodnych i zdrowych chatach, z obszernemi izbami, odziewają się chędogo a przytem wcale nie ubogo, kiedy się zaś zdarzy jakowaś potrzeba, co wszystkich obchodzi, na przykład naprawki w kościele lub w szkole, albo i na plebanii, lub też ksiądz proboszcz zapowie składkę na jakich pogorzelców, albo innych biedaków, to każdy ma czem brząknąć.

I zkądże to pochodzi, kiedy teraz czasy tak są ciężkie, że choćby ziemia najwięcej urodziła, dochód z gospodarki wystarcza każdemu w innych wsiach ledwie na najpierwsze potrzeby? Oto ztąd, że gospodarze trzydniowscy powracając z jarmarku, alboli też ze dworu z pieniędzmi za kwitki robocze, nie ciągną do karczmy, jeno prosto do domu, a choć lubią tańce i muzykę, nie cierpią pijaństwa, i nie masz między niemi takiego, coby grosz przez żonę albo dzieci zapracowany, niósł do żyda na wódkę, a przy wszystkich cnotach swoich są także dość przemyślni, więc nie dziwota że im się za łaską Bożą dobrze powodzi. Są oni tak szczęśliwi, jak rzadko kto na tym świecie; poznasz to na pierwszy rzut oka, ledwie wejdziesz w granice Trzydniowa, bo to cała wieś niby z pudełeczka.

Cała? oj! nie cała. Już to tak Pan Bóg dał, że we wszystkiem na świecie musi być wyjątek.

Jest w Trzydniowie chata nad samą Wisłą, która dawniej równie jak inne wyglądała chędogo i nieubogo, ale od jakiegoś czasu zmizerniała bardzo. — Ściany okopcone i odarte, okna potłuczone i szmatami pozatykane, dach świeci dziurami, podwórko i ścieszki chwastem zarosłe, jakby tu nikt nie chodził, w sadzie gąsienice objadły liście z drzew iż w połowie lata przypominają jesień. Cała ta zagroda wygląda jak pustkowie od mieszkańców opuszczone, a przecież ludzie tu mieszkają i poczciwi jacyś, bo na środku podwórka, na wysokiej lipie siedzi na gnieździe para bocianów, a wiadomo każdemu, że te ptaki nie gnieżdżą się byle gdzie, i złych ludzi unikają.

Oj! mieszkają tu ludzie i zaprawdę poczciwi, ale z niemi pospołu mieszka ciężki smutek i żałość wielka, dla tego nie masz ładu w chacie, nie masz porządku koło chaty.

Inaczej tu dawniej bywało. Jakób, któremu się przed laty ta chata z całą bogatą kmiecą zagrodą po ojcach dostała, był pracowity i oględny, przez całe życie gospodarzył pilnie i uczciwie; Jakóbowa była także dobrą gospodynią, dbała o wszystko, krzątała się od świtu do nocy, nie zmarnowała nigdy jednej chwili, póki nie nadeszła niedziela, a z nią

odpoczynek. Wówczas to szła do kościoła ustrojona w świąteczny przyodziewek, sute korale i bogate pierścienie świeciły się na niej jak na pani, a żadna sąsiadka jej nie zazdrościła, bo wszyscy wiedzieli, że Jakóbowa tego warta.

Mieli ci poczciwi ludzie z łaski Pana Boga syna imieniem Szymka, który dochodził dwudziestu lat, więc było się już kim wyręczyć. Kiedy ojciec jechał na jarmark do miasteczka, on pilnował chaty i roli, a często też gdy Jakób wolał zostać w domu, wysyłał chłopaka w swojej albo i pańskiej sprawie, jak wypadło, aby tym sposobem poznawał świat i ludzi i nabierał doświadczenia.

Był to chłopiec robotny i nie głupi, jak to mówią, i do Boga i do ludzi, bo to i serce złote, i jak na zawołanie piosneczka na ustach, i do tańca skory; więc i dziewki i wdowy poglądały za nim i ledwie nie ciągnęły; a on możeby tam i nie był od tego, ale ojciec i matka mieli ciągle na niego oczy zwrócone i strzegli jedynaka od pokusy, a gdy niektóre kumoszki mawiały Jakóbowi, że chłopaka zanadto krótko trzyma, że mu trzeba swobody, Jakób porównywał życie młodziana do bystrego potoku, co ślicznie huczy lecz rzadko bez szkody, więc póki się da, strzedz go od niej trzeba.

Mieli też Jakóbowie córkę przybraną Marynkę, sierotę bez ojca i matki, pięcioma laty młodszą od Szymka, którą jeszcze w kolebce, podczas wylewu Wisły wyratowali, i odtąd wychowywali jak własne dziecko, przeznaczając jej część swego dobytku. Było to dobre i urodne dziewczątko, ale Jakóbowie, choć ją nie mniej jak Szymka kochali, nie spodziewali się z niej takiej pociechy jak z własnego syna, zwłaszcza wiedząc że Marynka skoro dorośnie, porzuci ich dla męża, a w synu widzieli przyszłą swoją podporę na stare lata.

Tymczasem inaczej się stało: chłopak został żołnierzem, i w ciepłych krajach zginął na wojnie daleko od swoich.

Straszny to był cios dla rodziców, i w takim ich smutku, w takiej pogrążył żałości, że zapomnieli o świecie i o sobie. Z początku sąsiedzi ich odwiedzali i pocieszali, sąsiadki brały

*

Jakóbowę pomiędzy siebie i usiłowały na różne sposoby rozproszyć ciężką jej boleść, ale wnet poznali wszyscy że to na daremno, że serca rodzicielskie są zbyt mocno zranione aby je ludzkie gadanie pocieszyć mogło i że czas tylko może ich ranę uleczyć.

Jakóbowie co mieli pieniędzy złożonych to wszystko oddali na kościół, na msze za jedynaka, lub rozdzielili między ubogich; dla siebie o nic się nie troskali, jakby już jutro umierać mieli. Gospodarstwo szło w niwecz, i jedna tylko Marynka robiła co mogła i starała się aby rodzice nie poumierali z głodu. Pracowała za wszystkich, nie dospała nocy, nie założyła rąk przez cały Boży dzień. Biedne dziewczę pomizerniało, pobladło od ustawicznej pracy, a przecież ani słowem ani spojrzeniem nie okazało rodzicom, że to na nią za ciężko. Poczciwe dziewczę, oby takich więcej było na świecie!

Jakóbowie zaś tymczasem albo w kościele siedzą i modlą się, albo w komorze płaczą, bo im tam każdy sprzęt syna przypomina.

W chacie i koło chaty wszystko się zmieniło, podstarzało i walić już zaczęło, bo któż miał ład i ochędóstwo utrzymać? Przy takiem zaniedbaniu, oczywiście i bieda wciskać się zaczęła drzwiami i oknami Jakób posiwiał, przygarbił się, Jakóbowa tożsamo, zdawało się że już nie ma dla nich ratunku, że już tak zginąć muszą w tej ciężkiej żałości. Ale ksiądz proboszcz trzydniowski, ten prawdziwy ojciec swoich parafian, wyratował ich z tej niedoli. Wypytawszy sąsiadów co się dzieje z Jakóbem i jego żoną, pewnego razu po nieszporach zawołał ich do siebie, i gdy mu się szczerze wśród płaczu wyspowiadali, przemówił do nich mądrze, wlał im do serc prawdziwą pociechę chrześciańską, zgromił za grzeszne sprzeciwianie się woli Boskiej i upomniał, aby już raz dali pokój żałości i wzięli się po dawnemu do pracy. Nie skończyło się na tem, bo ksiądz proboszcz powiedziawszy co miał powiedzieć, poszedł do drugiej izby, i wyniósł z niej żelazny krzyżyk z Panem Jezusem, a dawszy go obojgu pocałować, zaklął ich, aby nie czekając dłużej, zaraz od tej chwili zaczęli poprawę, co też święcie

przyrzekli; a jako im Pan Bóg w tem pięknem przedsięwzięciu dopomógł, i co się dalej z Jego świętej woli stało, posłuchajcie.

Spisałem to wszystko dla waszego mili czytelnicy pożytku i rozrywki, i cieszyć się będę jeźli z mojej pracy jedno i drugie odniesiecie.

II.

Już się miało ku wieczorowi, gdy Jakóbowie z plebanii powrócili do chaty. Marynka skoro tylko spojrzała na rodziców, wnet dostrzegła odmianę, bo ojciec i matka innem już okiem na nią i na wszystko patrzeli.

Łza jej się zakręciła, czemprędzej więc odeszła do komina, i zaczęła niby poprawiać ogień, a tymczasem oczy fartuchem obtarła.

Stary Jakób siadł na ławie za stołem, wsparł na ręku siwą głowę i zaczął rozważać słowa księdza proboszcza. Jakóbowa siadła też na skrzynce pod piecem i założyła ręce, a po chwili podniosłszy oczy, popatrzyła na córkę, i teraz dopiero, biedne kobiecisko poraz pierwszy od półtora roku o Marynce myśleć zaczęła. Ścisnęło się serce matczyne gdy wzięła na uwagę, że tak o niej mogła zapomnieć; pobiegła więc ku dziewczynie, objęła ją za szyję, przytuliła do serca i w głos zapłakała. Marynka też z rzewnemi łzami do nóg matce upadła. Widząc to Jakób, bierze córkę w objęcia, a i jemu łzy z oczu płyną, i tak wszyscy troje, w serdecznem uściśnieniu, długo się od siebie oderwać, i z płaczu utulić nie mogli.

Łzy obficie wylane ulżyły nareszcie rozżalonym sercom, i zaczęła się spokojna rozmowa.

Gadali starzy o gospodarstwie, radzili co nadal przedsięwziąść, jak się ratować, do czego najpierwej rękę przyłożyć. Kilka razy jeszcze Jakób zwiesił głowę na piersi pomyślawszy znowu, jak to teraz pójdzie ciężko bez pomocnika, niby bez prawej ręki, i Jakóbowej łzy z oczu jak grad leciały na wspomnienie syna, ale i on się upamiętał prędko, i ona tak nie zawodziła jak dawniej.

Tymczasem Marynka uwarzyła wieczérzę, zastawiła stół, zasiedli wszyscy troje i przeżegnawszy się, dar Boży pożywać zaczęli.

Wtem, gdy na chwilę ucichła rozmowa, pies zaszczekał na podwórku, i czyjeś kroki słyszeć się dały bardzo blisko. Po krótkiej chwilce szczekanie ustało, jakby bryś poznał znajomego, lub jakby zwąchał, co się psom często zdarza, że przychodzień jest dobrym człowiekiem i przybywa w uczciwym zamiarze. Marynka wstała aby obaczyć kto idzie, wtem skrzypła zapora, drzwi się otwàrły i wszedł parobek jakiś ale nie trzydniowski, a pochwaliwszy Pana Boga

— Witajcie! rzekł z progu.

— Witajcie! odpowie mu Jakób, i patrzy przychodniowi w oczy, ale nie poznaje ani sobie przypomina aby go kiedy widział.

Parobek był cały zmoczony jakby dopiero wyszedł z wody.

— Zkąd to Pan Bóg prowadzi? zagada Jakób do przychodnia który stał w miejscu milcząc, jakby języka w gębie zapomniał lub nie wiedział od czego zacząć.

Obcy postąpił nieśmiało kilka kroków, skłonił się do nóg Jakóbowi i Jakóbowej, i rzekł:

— Nie zdaleka idę gospodarzu, bo moją wieś widać z waszego podwórka, ale ciężką miałem drogę, patrzcie! — wskazał na przyodziewę — i to szczęście żem żywy, bo z Wisłą nie żartować.

— To wy z Zawiśla? odezwie się Jakóbowa.

— Widać że z Zawiśla, rzecze Jakób; ale co was tu za bieda przygnała?

— Nie mam tam już co robić, odpowie obcy; opiekun kretarskim sposobem wydarł mi ojcowiznę i coś więcej jeszcze... a jego urąganie dopiekło mi do żywego.

— I tak, zagadnie Marynka, przyszliście do naszej wsi za służbą, albo zarobkiem?

— Tego mi tylko trzeba, a choć wiem że i tu gorzka mię dola czeka, jak zwyczajnie między obcemi, wolałbym zostać na tej stronie, bo czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

Marynka przysunęła mu ławkę aby usiadł, i rzekła:

— Dajcie te chusty co dźwigacie na plecach, trzeba przesuszyć.

— Bóg wie, kto będzie suszył moje chusty, odpowiedział jej parobek; nie wiem czy mię tu przyjmą w gościnę, a i prosić nie śmiem.

I skłonił się znowu Jakóbowi i Jakóbowej.

Gospodarz pomyślał przez chwilę i rzekł poważnie:

— Gościa do chaty Pan Jezus prowadzi, a kto gościa wypchnie, Jezusa wypycha. Nie chciałbym ja Jezusa odepchnąć od siebie, owszem radbym go przygarnąć, więc was chętnie przyjmuję w gościnę i to nietylko na nocleg, ale i na dłużej, póki sobie nie znajdziecie służby.

Matka i córka litowały się nad przychodniem, a mowa Jakóba bardzo je ucieszyła.

— Tu w izbie, rzecze Jakóbowa, przespać się możecie, bo my sypiamy w komorze, a Marynki głowa w tem, abyście nie narzekali że zła była gościna. O służbę nie będzie wam trudno, bo tu gospodarze mają się dobrze i chętnie biedakowi dają zarobek.

— I wam zdałbym się do roboty, rzecze parobek ośmielony tą mową, bo jak widzę w latach już jesteście, a skoro-byście wy mnie przyjęli, na co mi gdzieindziej szukać służby i poniewierać się między ludźmi.

— Prawda, prawda, powie Jakób, zdałby mi się pomocnik; miałem ja syna, niemal w tych samych latach co wy....

— Ale jego kości wiatr już rozniósł po świecie, odezwie się matka; był biedak żołnierzem, poszedł na wojnę, tam go kula w piersi ugodziła i skończyło się wszystko.

Zasmucili się wszyscy tem przypomnieniem i przez chwilę żadne ust otworzyć nie mogło; obcy z politowaniem patrzył na nich, i jemu smutno się zrobiło, bo może sobie wspomniał o swojej rodzinie, a wreszcie kto wie co on tam miał na myśli.

Jakób wstał z ławki, ręce w tył założył i przechadzał się po izbie. Parobek przysunął się do komina na którym buchał ogień z smolnego łuczywa i twarz jego oświecił Matka z córką

lepiej mu się teraz mogły przypatrzeć. Był to walny chłopak, rosły jak dąb, a prosty jak trzcina, miał siłę w ręku i poczciwość w oku, ale widać też było z jego twarzy że już nie mało w życiu swojem wycierpiał.

— A jak wam na imię? zapyta Jakób.

— Szymon.

— Szymon? powtórzyły matka i córka, jednocześnie zwracając głowy ku niemu.

Parobek spojrzał na nie jakby chciał pytać dla czego je to dziwi że on się Szymonem zowie.

— I jemu tak samo było na imię; westchnłą gospodarz. Jakóbowa zalała się łzami. Jakób przeszedłszy się parę razy po izbie stanął przed obcym, wyciągnął rękę ku niemu i rzekł:

— Ha! dziej się wola Boża! Pan Jezus nam daje Szymona za Szymka, a co Bóg daje, tem gardzić nie wolno. I wstrząsając jego ręką dodał: Jeżeli doprawdy chcesz, jeżli ci się tu podoba, to zostań z nami Szymonie; zostań dokąd chcesz, choćby i rok cały. My ci krzywdy nie zrobimy, a jeżli nam szczerze i uczciwie pomagać będziesz, Bóg ci to osobno wynagrodzi.

Wskazał za stołem próżne miejsce.

— Siądź i jedz z nami co Bóg dał.

Obcy podziękował gospodarzowi i gospodyni, oddał Marynce brzemiączko z chustami które miał na plecach i wziął się z całą rodziną do wieczerzy.

Skoro zjedli, wyszli wszyscy na podwórko i Jakób z nowym parobkiem zasiedli na kłodzie pod lipą, a Jakóbowa z Marynką stanęły przy nich na boku.

Wieczór był prześliczny, niebo się cudnie wygwieździło, księżyc odbijał się w Wiśle jak w źwierciedle. Do późna w noc przeciągła się gawęda.

Jakób z rozmowy z przybyszem poznał że będzie miał z niego pomoc prawdziwą, bo to człowiek jak na swoje lata dość rozumny i doświadczony. Przychodzień też dziękował myślą Panu Bogu i swemu aniołowi stróżowi że go przywiedli do tej poczciwej chaty, a widząc jaką ciężką żałość Jakóbowie noszą w sercach swoich po jedynaku, ułożył sobie zastąpić go

według możności, aby tym sposobem choć w części odwdzięczyć się za gościnne przyjęcie.

Marynka widząc że ojcowie rozmawiają, radzą, kłady robią i na prawdę zabierają się do gospodarki, słowem że po tej strasznej żałobie, co się nieledwie śmierci równała zaczynają do siebie przychodzić, nie posiadała się z radości, tak ją ta zmiana cieszyła. O! bo czyżto nie uciecha? popatrzy na ojca lub matkę, i oni na nią czule popatrzą, zagada do nich, odpowiadają jej życzliwem słowem nie tak jak pierwej gdy tylko śmierć Szymka mieli na myśli i w ciężkim smutku o sobie i o niej zapominali. (C. d. n.)

Alleluja.

Spi Jeruzalem — sen ciężki i głuchy
Zawisł nad miastem, jak całun żałoby;
I serca śpiących były jako groby,
W których jęczące pokutują duchy.
Spi Jeruzalem — ale nad Golgotą
Błysnął z wysoka drżący promień świtu;
Pierzchają cienie, ciche tło błękitu
Zorzy się łuną rozpłomienia złotą.
I coraz jaśniej! ach! coraz weselej
Z niebios na ziemię zdrój światła się leje,
Aż na grobowiec spłynął anioł w bieli,
Dnieje . . . .
Dnieje, w ognistej korony purpurze
Dzień się podnosi jak zwycięzca świata:
Drży w krwawej łunie Getzemani wzgórze
I mgła opadła w wąwóz Józefata.
A gdy nad falą jęczącą Cedronu
Z mrokiem się nocy złote łamie słońce,
Wiatr niby westchnął od strony Syonu,
I trzy się cienie wysunęły drżące.
Trzy drżące cienie, galilejskie córy,
Trzy bolejące sieroty w żałobie,
Przez łomy głazów, przez tumanów chmury
Spieszą się uczcić leżącego w grobie

Dwie z nich w wstydliwej żałości swej dumie
Spłakane lica ukryły w zasłonie,
I idą zwolna w bolesnej zadumie,
I w drogich puszkach drogie niosą wonie.
Trzecia na przodzie nic nie wzięła z sobą,
Wiatrom płonące oddała oblicze,
Starganej kosy okryta żałobą,
Zamiast balsamów łzy ma pokutnicze.
J kiedy tamte stroskane niebogi,
Pytają smutne: któż nam głaz odwali?
Ona o skały białe krwawiąc nogi,
Miga się blada w złotych blasków fali.
I już dobiegła, wyciąga ramiona,
Święta miłością i boleścią drząca;
Nagle jęk głuchy wyrwał się z jej łona,
I na mogile upadła płacząca.
— Niema Go! niema... o grobie kamienny
Gdzieżeś ty, woła, podział Pana mego? —
W tem ku niej anioł podniósł się promienny:
— Czemuż, rzekł, w grobie szukasz żyjącego?
Żywy wstał zmartwych, jako powiedziano
Na wysokościach chwały swojej buja;
Stało się ludziom dnia wielkiego rano,
Alleluja!

Chrześcianinie! Bóg twój co za ciebie
Umarł na krzyżu i złożon był w grobie,
Już z martwych powstał po ziemskim pogrzebie!
I tam Go szukać nie godzi się tobie.
Tak, próżno w serca pobożnej tęsknocie,
W ziemię byś patrzył łzawemi oczyma,
Jak Magdalena na krwawej Golgocie;
Anioł stróż Boży rzeknie: tam Go niema!
On w wieńcu cierni, w krwi swojej purpurze
Mogiłę w głazie wykutą porzucił,
I stał się duchem na niebios lazurze,
A duch promieniem światła do nas wrócił.
W górę więc, w górę, oczy wznieść ci trzeba,
Jeżli Go sercem pragniesz przyjąć czystem;
A On językiem światła płomienistym,
Na czoło twoje zstąpi prosto z nieba;

I odtąd w każdej godzinie i dobie
Obecność Jego sercem twem przeczujesz;
Żywy i cały stać będzie przy tobie,
W każdym twym bliźnim Jego umiłujesz.
Jako do Emaus z uczniami smutnemi,
Pójdzie On z tobą gościńcem żywota,
A kiedy głowę pochylisz ku ziemi,
A piersi sroższa podniesie tęsknota,
On cię upomni o serce leniwe!
Czyliż cierpienia nie było potrzeba,
Ażeby Chrystus, słowo prawdy żywe,
Jako zwycięzca wszedł do chwały nieba?
A jeżeli zwątpisz w ciężkiej życia toni,
Jeźli się sercem zachwiejesz niewiernie,
Jak Tomaszowi, bok ci swój odsłoni,
I wszystkie rany zadane przez ciernie.
A kiedy skruchą oko się załzawi,
On za twym stołem biesiadnik usiędzie,
Chleb twój powszedni łamać z tobą będzie,
I pracy twojej znój pobłogosławi;
Aż gdy nakoniec w ciemnym ziemi grobie
Złożą cię martwym pod krzyża podnoże,
On z krzyża tego skłoni się ku tobie,
I archanioła pokaże ci w górze. *M. J.*

Marya Leszczyńska, królowa francuska.

Marya Leszczyńska była córką króla, ale króla wygnańca, pozbawionego tronu i blasku, który po kilku latach cierpień i tułactwa, ledwie w końcu, na gościnnej ziemi francuskiej, zaciszne znalazł schronienie. Pobożna, tkliwa, dobroczynna, rozsądna, była aniołem pocieszycielem dla rodziców skołatanych tylu ciosami a wychowana poczciwie, skromnie, po staropolsku, tego tylko jednego pragnęła aby im życie swojem życiem osłodzić.

Ale nie zawsze jest w mocy naszej uczynić to czego serce pragnie, tak było też i z Maryą. Dwaj książęta niemieccy i jeden wielki pan francuski ubiegali się o jej rękę, a król Stanisław, jej ojciec skłaniał się już wydać ją za Francuza.

Marya wiedziała że w zamężciu nie znajdzie tego szczęścia jakiego doznawała w rodzicielskich objęciach, a bardziej jeszcze trapiła ją myśl, że osamotnionym jej rodzicom nikt już nie umili smutnych dni wygnania.

A w tem przybywa niespodziewanie przysłany od króla francuskiego kardynał biskup i prosi o rękę Maryi dla niego samego. Jak wonny fiołek, choć w cieniu ukryty, nie ujdzie uwadze przechodnia, tak cnotliwa Marya, choć na uboczu, w zaciszy wychowana, mimowoli ściągnęła na siebie oczy wielkiego świata. Ojciec i matka za największe dla swego dziecka szczęście związek córki z królem poczytywali, owszem widzieli w nim osobliwszą łaskę bożą. Czy Marya mogła się ociągać? Wszak zostawszy królową, tem więcej będzie miała sposobności i mocy umniejszyć trosk ukochanym swoim, aczkolwiek ojciec dając jej swoje zezwolenie, położył warunek aby się nigdy nie poważyła mięszać do spraw męża, do spraw rządowych, nigdy, choćby nawet szło o jego głowę, bo rządzić nie jest sprawą kobiet. I pod utratą błogosławieństwa nakazał jej dotrzymanie tego warunku.

Wkrótce potem zjechało uroczyste poselstwo, i zwyczajem przyjętym u panujących jeden z książąt krwi zaślubił Maryę w imieniu króla francuskiego Ludwika XV. Otoczona świetnym dworem i przepychem królewskim młoda królowa odjechała niebawem do męża. Po drodze widziała wszędzie kosztowne przygotowania na jej przyjęcie, lecz te nie cieszyły jej wcale i powtarzała smutno: — Ach! czemuż mam przyczyniać wydatku tym, którychbym wspierać powinna...

Ubóstwiana przez męża i przez całą Francyą, Marya czuła się bardzo szczęśliwą, zwłaszcza gdy uprzedzający wszelkie jej życzenia król, dał rodzicom Maryi na mieszkanie wygodny zamek tuż pod samym Paryżem. Szczęście jej pomnożyło się jeszcze bardziej gdy ją Bóg w kilku latach pobłogosławił kilkorgiem dziatek.

Wtem dla króla Stanisława Leszczyńskiego, ojca Maryi, zabłysła nadzieja odzyskania tronu w Polsce. Pojechał na niepewne, zaufawszy obietnicom zięcia który mu przyrzekł pomoc.

Niestety zięć nie chciał czyli też nie mógł dać mu pomocy. Ach! ileż cierpiała na tem biedna Marya tak tkliwie kochająca ojca. Była królową i panią potężnego narodu a niczem nie mogła wesprzeć ojca którego życie w największem było niebezpieczeństwie. Głuche wieści nadchodzące z Polski boleścią napawały tkliwe jej serce, ale przyrzekłszy ojcu że do spraw rządowych nigdy mięszać się nie będzie, przyrzekłszy mu pod utratą błogosławieństwa że tego nigdy nie uczyni, choćby nawet szło o jego głowę, tłumiła w sobie tę boleść, i jeden tylko Bóg widział co się działo w jej sercu

Po roku wrócił z Polski król Stanisław nic nie zyskawszy ale przynajmniej zdrów i bezpieczny. Zięć oddał mu w dożywocie rządy nad księstwem lotaryńskiem, tam się więc przeniósł. Szczęście Maryi przestało już być zupełnem. Oddalona od rodziców, tęskniła za niemi, a w rok potem przywdziała żałobę po matce.

Odtąd życie królowej francuskiej stało się nieprzerwanem pasmem bardzo dotkliwych cierpień. Małżonek jej zmienił się nie do poznania. Wprawdzie nie uchybił jej nigdy winnego uszanowania, czcił w niej kobietę zacną i cnotliwą ale pozwolił się opanować ulubienicom i bezwstydne wiódł życie. Znakomici mężowie francuscy widząc co się dzieje, błagali Maryę aby się zajęła sprawami państwa, ale ona odpowiadała zawsze:

— Mój ojciec mię nauczył że rządzić nie jest sprawą kobiet.

Otwarło się dla niej nowe źródło szczęścia gdy syna ożeniła i doczekała się wnuków, ale po kilku latach śmierć tegoż syna a potem i ojca na nowo okryła ją żałobą. Lecz Marya nie upadła pod ciężarem boleści, owszem w tem ostatecznem zgnębieniu zamiast rozpaczać, wstąpiła na nowe drogi na których znalazła pociechę i prawdziwe zadowolenie. Oto została matką wszystkich ubogich, cierpiących, nieszczęśliwych i w całej Francyi zjednała sobie imię dobrotliwej i świętej królowej.

Marya nie zapomniała też nigdy że Polska była jej ojczyzną. Chętnie rozmawiała z Polakami przybywającymi do Francyi, po polsku pisywała do ojca i do dawnych znajomych w Polsce i ku stronom ojczystym często zwracała myśl stęsknioną, a nawet spowiednikiem jej był Polak.

Indyanin *) i jego pies.

Wieśniak francuzki Lefewre w nie zbyt dawno ubiegłym czasie, jako wychodziec z swojej ojczyzny, w północnej Ameryce niedaleko Gór Niebieskich, na uprawionym przez siebie gruncie zamieszkały, miał kilkoro dzieci, z których najmłodszy Deryk czteroletni chłopczyk był ulubieńcem swoich rodziców. Pewnego dnia znikł on niespodzianie; z początku myślano że zaszedł do sąsiada, ale gdy go tam nie zastano, wszelkie późniejsze po różnych miejscach poszukiwania, okazały się daremne. Już całą okolicę w każdym zakątku przetrząśnięto, już i słońce chyliło się ku zachodowi, a na trwożliwe wołania rodziców, głuchy tylko odzywał się odgłos, albo ryk dzikiego zwierza, bardziej niż kiedy przerażający. Podczas wycieczki strapionych rodziców i coraz to więcej słabnącej nadziei znalezienia zabłąkanego dziecięcia, przybył niespodzianie Indyanin Tewczyna ze skórami bobrowemi do domu Lefewra, sobie przyjaznego, gdzie często swój towar korzystnie pozbywał, i tu dowiedział się od jedynie w domu pozostałej służącej murzynki, o nieszczęśliwem zdarzeniu i rozpaczy rodziców. Na tę wiadomość każe natychmiast zatrąbić w róg czarnej kobiecie, chcąc przezto strapionych rodziców przywołać do powrotu do domu; sam zaś postanowił zająć się wyszukaniem ich dziecięcia.

Na dany znak rogiem, spieszy ojciec, ile mu tchu starczy, nieledwie bowiem był pewny, że się dziecię znalazło. Jeszcze go niema, odrzekł Indyanin, na jego szybkie zapytanie, ale daj mi czemprędzej, całe zwyczajne ubranie twojego dziecięcia, które w ostatnim czasie miewało na sobie; a ja daję ci słowo, że je odnajdę. Osadnik ociągał się zrazu z danem poleceniem; Indyanin jednak nie przestawał nalegać na niego. Gdy mu wreszcie trzewiczki i sukienki chłopczyny przyniesiono, natychmiast dał je psu swemu dostatecznie do obwąchania, i oprowadzał go potém w wielkim około domu okręgu, którego choć jeszcze całego nie obszedł, a już zmyślny zwierz odezwał się

*) Indyanami zowią zwykle pierwiastkowych Ameryki mieszkańców, dziś jeszcze dzieniegdzie w dzikości żyjących.

jakimś szczególniejszym głosem; Indyanin przeto domyślał się, że pies pochwycił węchem ślad dziecięcia, bo z niewstrzymanym pędem zaczął biedz drogą, wpadł w gęstwinę lasu i w pół godziny wrócił z takim wyrazem radości do swego pana, że już o odkryciu dziecięcia nie można było powątpiewać bynajmniej. Zachodziła wszakże niepewność, czy dziecię było przy życiu; czas przeto aż do jej wyjaśnienia, dla biednych rodziców, jeszcze był przykrzejszy, jak poprzednia obawa. Czemprędzej teraz Tewczyna za psem pospieszył, a za nim biegła cała stroskana rodzina w miarę swej możności, i szczęśliwie nakoniec znalazł chłopca Indyanin w zarośli, u spodu wielkiego drzewa, biegiem i upałęm umordowanego, który się bardziej umarłym niż żyjącym wydawał; chłopczyna bowiem za wejściem do lasu daremnie szukał drogi do powrotu, i w trwodze coraz głębiej w las się zapuszczał.

Tewczyna teraz wziął dziecię na ręce, i biegł z niém co prędzej na przeciw strapionym rodzicom, a usłużny pies w wesołych podskokach towarzyszył swemu panu. Łatwo sobie każdy wystawi radość ojca i matki, kiedy już zdaleka wyciągnięte do nich rączęta swego dziecięcia ujrzeli. Ich podziękowaniom Bogu i poczciwemu Indyaninowi nie było końca, równie i o psie niezapomniano, który jakby zawstydzony okazywanemi sobie przymileniami, zwinął się u nóg swojego pana, i leżał spokojnie podczas rozczulającej tej sceny.

Jak tylko wieść się rozeszła w sąsiedztwie, o znalezieniu zbłąkanego dziecięcia, cała ludność tej okolicy zgromadziła się ochoczo, bo osadnik i jego rodzina powszechnego u wszystkich doznawali szacunku: a dom ich jakkolwiek obszerny, z trudnością mógł coraz to liczniej nadchodzące pomieścić osoby, dla podzielenia radości tak bardzo udręczonych przed chwilą rodziców. To zgromadzanie się trwało przez całą noc prawie, bo nikt nie odszedł nieugoszczony. Przez cały ten czas nie wypuściła matka z rąk swojego dziecięcia; poczciwy zaś Indyanin przed tym natłokiem licznej przyjaciół drużyny, wymknął się nieznacznie na spoczynek do stodoły; wrzawa bowiem tylu ludzi, i okazywane mu aż do zbytku grzeczność i uprzejmość, za uciążliwe były dla niego. Wtedy to uszczęśliwiony ojciec

sprowadziwszy go do siebie, w obecności wszystkich, uściskał swego dobroczyńcę, i zwyczajem Indyan uznał go za swego brata i rzekł: Kiedy przyjdziesz do lat podeszłych, i twoje nogi nie będą mogły rączego dosięgnąć zwierza, a twoja słaba ręka napiąć łuku nie zdoła, wtedy przybądź do nas życzliwie, my ci z radością chatę wystawimy, i ażebyś żył sobie swobodnie, wszelkie twoje zaopatrzymy potrzeby. Jeżelibyś w dotkliwym razie zapłakał, to jak ty nam otarłeś łzy nasze, tak i my ukoimy cię w żalu i pocieszymy sercem przyjaźném. I o przywiązanym do ciebie psie troskliwe w jego starości będziemy mieli staranie, i na niczem mu nigdy nie braknie. Wziąwszy nareszcie za rękę przyjaznego sobie Indyanina, dodał jeszcze: kochani sąsiedzi i przyjaciele, ten oto mój dobroczyńca od tej chwili jest moim bratem, a dziecko odtąd zaniecha swego imienia, a zwać się będzie Tewczyną, jak jego wybawca i pokrewny, który mu życie uratował.

Wszyscy obecni uroczyście ten nowy pochwalili związek, a gdy teraz każdy zajmował się uczuciem swego serca swobodnie, Indyanin tymczasem, jak to zwykle dzieje się u dzikich, mających mówić na swych zgromadzeniach, zastanawiał się, co ma powiedzieć. Po dostateczném zebraniu swych myśli, wedle zwyczaju swych ziomków, stwierdził ofiarowany sobie związek, temi słowy: Mój bracie, nic takiego nie zrobiłem dla ciebie, czegobyś i ty w podobnym razie, nie uczynił dla mnie. Stało się to zapewne z woli dobrego Ducha, czuwającego nad nami, i mającego nas w swojej opiece, że w swoim czasie z pomocą do twego domu przyszedłem. Jeżeliś szczęśliwy z pomyślnego wypadku, to i ja nim jestem podobnież. Gdy przybędziesz w okolice naszych siedzib, to moja chata zawsze dla ciebie stać będzie otworem; rozniecone w niej ognisko będzie twojém i na mojej tylko skórze niedźwiedziej wypoczniesz swobodnie, i to obok twego brata Tewczyny.

Od tej chwili mały Deryk przybrał imię swojego wybawcy, i zawsze mu swoją wdzięczność okazywał, a po zgonie jego, udał się w góry do rodziny zmarłego, i jednego z jego synów Tewczyną zwanego, przybrał za swego brata; a tak ten związek wdzięczności, w późne przeciągnął się lata, w ciągu których poczciwy, jak i jego ojciec, Idyanin, dość często przebywał Góry Niebieskie dla odwiedzenia swojego brata, który go nie tylko życzliwém w swym domu przyjmował sercem i gościnnie uraczał, ale i nigdy bez podarku nie wypuścił od siebie.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.